TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

SIŁA POPULIZMU. O CENIE, JAKĄ PŁACI PRAWICA W XXI W.

Jan Fiedorczuk · 17 października 2023

Populizm stanowi nieodzowny składnik demokracji i utyskiwanie na ten fakt przypomina narzekanie na upały w lato. W obecnych warunkach wybór nie brzmi „albo polityka rozsądna, albo polityka populistyczna", tylko „albo będzie polityka populistyczna, albo nie będzie jej wcale". Dzieje się tak, ponieważ w XXI w. alternatywą dla populizmu nie jest „polityka racjonalna", tylko antydemokratyczna postpolityka, sprowadzająca ideę wspólnoty do kwestii logistyki i administrowania, gdzie wola narodu staje się iluzją. W dobie wyborczej gorączki warto pamiętać o jasnych stronach populizmu, które przyćmiewa niedorzeczna demagogia dwóch największych ugrupowań.

Polska w gorączce wyborczej

Polska polityka stała się populistyczna. To nie tylko osiem lat rządów Prawa i Sprawiedliwości, które ewidentnie uruchomiło pewne procesy w tym temacie, ale nade wszystko gorączka wyborcza, która skierowała polską debatę publiczną na tory radykalnego schlebiania ludowym zachciankom w natężeniu do tej pory właściwie nieznanym w III RP. Dowodzi tego taktyka obrana przez dwa największe ugrupowania na rodzimej scenie politycznej. Jednak o ile Prawo i Sprawiedliwość miało zawsze naturalną predylekcję do schlebiania ludowym masom, o tyle w ostatnich miesiącach trudno nie zauważyć podobnej tendencji po stronie rzekomo technokratycznej Platformy Obywatelskiej.

Dość znamienna była chwila, gdy Prawo i Sprawiedliwość zapowiedziało podniesienie świadczenia 500 plus o kolejne 300 złotych od początku 2024 r., na co Donald Tusk zareagował zdecydowanym żądaniem, aby świadczenie podwyższyć, ale tu i teraz, natychmiast. W tej wyborczej licytacji dość dobrze można uchwycić populistyczny charakter naszych czasów. Wszystko dla ludu, i to bez względu na koszty.

> Podobne przykłady można mnożyć i znajdziemy je bez liku we wszystkich ugrupowaniach. Czyż Sławomir Mentzen, obiecujący likwidację ZUS „jak najszybciej", nie jest populistą? Czy Włodzimierz Czarzasty, zapowiadający radykalną depisyzację kraju, nim nie jest? Czy populizmem nie jest nagły antyukraiński zwrot Prawa i Sprawiedliwości – jednego z najbardziej proukraińskich ugrupowań w Europie? Na kilka tygodni przed wyborami Polska niemalże utonęła w zalewie populistycznych haseł i obietnic.

W tej nawale bardzo trudno bronić jakichkolwiek populistycznych nurtów. Obserwując demagogiczną

kampanię wyborczą, każdy człowiek myślący w dłuższej perspektywie niż dwa tygodnie, odczuwa naturalną potrzebę powiedzenia „dość". Dzisiaj łatwo całkowicie potępić populizm jako taki, trudniej jednak znaleźć w tym zjawisku jego pozytywne cechy.

A jednak populizm niejedno ma imię i zrzucanie na niego całej winy za obecny stan polskiej debaty publicznej jest po prostu niesprawiedliwe. Zwłaszcza, że w ten sposób robimy nieświadomie przedpole dla elitarystycznej (post)polityki. Co więcej, populizm, przynajmniej dla prawicy oraz lewicy nieliberalnej, może być potężnym sojusznikiem. Jest to jednak sojusznik rodem ze słynnego aforyzmu Nietzschego – im dłużej na nim polegamy, tym większe ryzyko, że przejmie nad nami kontrolę, że staniemy się tacy jak on.

CZYTAJ TAKŻE: Naród jako wspólnota integralna (przekraczając wymiar etniczny i obywatelski)

Zaprzeczenie postpolityki

Odejdźmy na chwilę od politycznej „bieżączki" i spróbujmy uchwycić istotę zjawiska – czym jest populizm i jakie są jego pozytywne aspekty? Należy wskazać, że w naukach społecznych do dzisiaj nie wyklarował się konsensus w kwestii definicji tego pojęcia. Jaki jest populizm, każdy widzi, ale fachowo go opisać potrafi niewielu. O ile takie terminy jak socjalizm, liberalizm czy kapitalizm są w jakimś stopniu skonkretyzowane w akademickim dyskursie, o tyle w przypadku populizmu sprawa jest bardziej złożona. Przypomina to poniekąd losy nacjonalizmu, wokół którego to pojęcia na przestrzeni lat również narosła czarna legenda. Każdy się nim posługuje, ale nikt nie podejmuje się prób jego zdefiniowania.

Zacznijmy zatem od wskazań Jerzego Szackiego, jednego z najwybitniejszych polskich socjologów, który swego czasu podjął próbę zdefiniowania populizmu. Wyróżnił on trzy oddzielne sposoby rozumienia tego terminu:

1) populizm jako synonim demofilii – idealizowanie, umiłowanie ludu;

2) populizm jako synonim demagogii;

3) populizm jako postawa kwestionująca instytucjonalne status quo danego systemu.

W publicystycznym podejściu ewidentnie dominuje ujęcie drugie, które populizm postrzega jako licytowanie się na tzw. kiełbasę wyborczą, schlebianie niskim gustom ludu i przejadanie perspektyw dalszych pokoleń dla chwilowego poklasku i popularności.

Ważna jest jednak również pewna kultura polityczna charakterystyczna dla populizmu, która wykracza poza doraźną demagogię socjalną (pomińmy tu fakt, że populizm może być zarówno socjalny, jak i liberalny). Maria Marczewska-Rytko, jedna z najbardziej uznanych badaczek tej tematyki w Polsce, referując koncepcje brytyjskiego politologa Paula Taggarta, wskazuje, że dla populizmu istotne są również takie wyróżniki jak choćby odmienny sposób organizowania się ruchów populistycznych od tradycyjnych partii, podnoszenie ostrej krytyki zastanego systemu politycznego i status quo, ale także podważanie polityki reprezentacji oraz utożsamianie siebie z wyidealizowaną wspólnotą.

Bardzo ciekawa jest również uwaga Slavoja Žižka, którego zdaniem populizm jest nurtem wyłamującym się z ideologii demokracji proceduralnej, gdzie systemowe mechanizmy działają bez względu na ostateczny wynik wyborów. Populiści są w stanie zawiesić te procedury na rzecz woli ludu (a przynajmniej tym grożą). Innymi słowy, nowoczesny populizm jest przejawem turbodemokracji, która za głównego przeciw-

nika obiera ideologię postpolityki, dążącą do wyrugowania tradycyjnej polityczności z życia obywateli i zastąpienia jej koncepcją zarządzania/administrowania.

Istotne jest również odwoływanie się populistów do sfery moralnej. Świat zostaje przez nich poddany moralnej ocenie, i to często w dość uproszczony sposób. Następuje manichejski podział na dobro i zło, naród i państwo, lud i elity. To oczywiście jedynie pewien typ idealny. Dobry lud jest uciemiężony przez system, którego manifestacją jest aparat państwowy i kosmopolityczne elity. Ponadto koncepcja moralnego osądu zastanej rzeczywistości doskonale koresponduje z ideologicznym antagonistą – postpolityką, która w naturalny sposób od takich ocen ucieka.

Postpolityka to administrowanie, technokratyczne zarządzanie zasobami, logistyka. Nie ma w niej miejsca na wolę ludu, na emocje i błędy. Postpolityka jest logiczna, zimna i skrojona pod linijkę. Nie ma w niej zatem miejsca na moralizowanie. Dostajemy jedynie racjonalną wycenę ścieżek, którymi może podążyć społeczeństwo jednostek. Populizm jest zaprzeczeniem tego stanu rzeczy.

> Populizm to żywa polityczność przenikająca masy, a nie jednostki. To pozwalanie sobie na błędy i świadomość, że istnieją sfery życia wymykające się racjonalnej kalkulacji i logice opłacalności. Ład moralny, dobre życie, wola narodu – to postulaty niemieszczące się w logice współczesnych elit Zachodu. Populizm i postpolityka stanowią awers i rewers życia społecznego.

Pożytki z populizmu

Sam populizm ma oczywiście ciemne strony, i to bardzo poważne – to nie ulega wątpliwości, regularnie przekonują nas o tym mainstreamowe media. Na podstawie samego populizmu nie sposób formułować długotrwałej strategii dla państwa, nie sposób prowadzić dyplomacji czy budować instytucji i kultury politycznej, która będzie służyć całym pokoleniom.

A jednak sprowadzanie populizmu do samych negatywnych aspektów byłoby niesprawiedliwe. Byłoby to populistyczne – chciałoby się rzec. Populizm to pewne spektrum zachowań i postaw, gdzie z jednej strony mamy „łagodną", demokratyczną troskę o dobro ludu, podczas gdy z drugiej – demagogię, kazuistykę i kuglarstwo obliczone na szybki zysk polityczny. „Dobry" populizm różni się mniej więcej tak od szkodliwej demagogii, jak nacjonalizm od szowinizmu.

O negatywnych konsekwencjach populizmu słyszeliśmy wszyscy, jakie są jednak jego pozytywne cechy? Przede wszystkim populizm jest solą demokracji – wszak idea rządów ludu jako taka z samej swojej istoty jest populistyczna, skierowana na masy, w których upatruje wyroczni i suwerena. Rozbierzmy na czynniki pierwsze samą ideę ludowładztwa – przecież pomysł, że wielomilionowy tłum w jakiś sposób jest bardziej racjonalny w wyborze władzy niż wąska elita, jest już w samym swym założeniu absurdalny. Monarchia czy oligarchia są ustrojami ze wszech miar bardziej racjonalnymi. A jednak wszyscy uznajemy, że pan X, którego mijamy na ulicy, będzie doskonałym recenzentem władzy i ma wszelkie narzędzia, by wybrać jak najlepszy rząd dla kraju. Absurd zupełny. Jednak nie uznajemy zasadności demokracji dlatego, że jest ona systemem racjonalnym. Uznajemy jej zasadność właśnie pomimo tego, że jest ustrojem ze wszech miar nieracjonalnym. W samym jej sercu tkwi pierwiastek populistyczny.

Nawet jeżeli realia wyglądają tak, że ten wielomilionowy suweren jest często iluzoryczny, że staje w centrum zainteresowania jedynie w dniu wyborów, to jednak co do zasady to lud jest sercem logiki demokratycznej w jej masowej formie. Lud stanowi punkt wyjścia i zarazem cel demokratycznej machiny – jest alfą i omegą.

> Pierwszą fundamentalną korzyścią z populizmu jest zatem fakt, że to on wtłacza autentyczne życie w skorupę demokracji. Innymi słowy, populizm jest solą demokracji.

Co więcej, populizm nie tylko stwarza demokrację, lecz także podtrzymuje ją przy życiu, pozwalając uniknąć rewolucji i za cenę pewnych ustępstw aparatu państwowego umożliwia rozładowanie napięć społecznych. Tam, gdzie politycy unikają populizmu, tam dochodzi do pogłębiających się rozwarstwień społecznych i nierówności ekonomicznych, a co za tym idzie – niepokojów i rewolucyjnego wrzenia. Paradoksalnie „lekki", demokratyczny populizm jest właśnie tym, co chroni wspólnotę polityczną przed szkodliwą demagogią wiodącą lud na barykady. Populizm nie jest zatem przedsionkiem demagogii, tylko wprost przeciwnie – murem odgradzającym nas od niej.

Populistyczna tendencja może ponadto służyć nam za barometr nastrojów społecznych – uświadamia o kierunku, w jakim zmierza lud i czego się domaga. Jeżeli jakieś choroby trawią społeczeństwo, to ruchy populistyczne jako pierwsze je wezmą na sztandary. Populizm uświadamia elitom konieczność zmian. Jednocześnie zwraca się do szerokich mas, dając im poczucie podmiotowości, przywracając godność, wprowadzając jakiś głębszy sens w ich egzystencję.

Z kolei krytyka zastanego status quo, stanowiąca fundament populizmu, wiąże się z programem pozytywnym, który zazwyczaj przybiera jakąś formę utopii politycznej. Ta z kolei wydaje się nieodzownym składnikiem dla poprawnego funkcjonowania demokracji – bez idei lepszego jutra, bez scenariusza naprawy obecnego porządku, demokracja zaczyna się zapadać pod własnym ciężarem. Kazimierz Frieske w publikacji *Pochwała populizmu* stwierdza wręcz, że demokracja „zapewne nie przetrwa bez jakiejś wizji lepszej, choćby i utopijnej, przyszłości. Ta czy inna postać populizmu taką wizję proponuje – i to jest podstawowy pożytek, jaki zeń możemy mieć".

CZYTAJ TAKŻE: Emocjonalna narkomania, czyli niemoralna strona demokracji

Demoliberalna utopia

Ten sam autor daje nam też bardzo ciekawą uwagę, konfrontując utopię populizmu z projektami demoliberalizmu. Otóż ta pierwsza jest o tyle pozytywna, że pozostaje nieskonkretyzowana – ruchy populistyczne podnoszą ogólny kierunek zmian, unikają jednak konkretnych rozwiązań ustrojowych (pewnym ewenementem był tutaj Kukiz'15 z dość sprecyzowaną wizją reform), skupiając się raczej na zwróceniu państwa obywatelom niż postulatach instytucjonalnych. To z kolei jest naturalnym bezpiecznikiem przed totalitaryzmem, który jest w rzeczywistości próbą racjonalnego, holistycznego przeorganizowania zastanego świata na daną modłę. Pod tym względem demokracja liberalna, kierująca się konkretnymi wskazaniami, paradoksalnie wydaje się mieć większe predylekcje do totalitaryzmu niż populizm. Jak pisze Frieske, utopia populizmu pozwala „lepiej zrozumieć utopijność demokracji liberalnej i z pokorą rozstać się z marzeniami o perfekcyjnym ładzie społecznym". Ustrój doskonały nie istnieje, gdyż

każda forma państwowości, tak jak i sam człowiek, jest ułomna.

Tymczasem demoliberalna neoarystokracja, która obecnie wiedzie prym jako nowa elita Zachodu, twierdzi coś wprost odwrotnego. W jej optyce demokracja liberalna jest nie tylko najlepszym ustrojem w dziejach, lecz także właściwie jedynym akceptowalnym, jedynym legalnym i prawowitym. Typ idealny demoliberalizmu zakłada świat pozbawiony ryzyka i emocji; to świat, w którym władzę dzierży technokratyczna elita w triumwiracie z wielkim kapitałem i koncernami medialnymi, a lud głosuje zawsze tak, jak należy. Problem w tym, że współczesny system coraz wyraźniej orientuje się wokół logiki wertykalnej, a nie horyzontalnej, a zatem hierarchicznego porządku, gdzie pierwiastek wspólnotowy i egalitarny jest rugowany na rzecz jednostek i grup interesów stojących wyżej na drabinie współczesnej stratyfikacji społecznej.

Schodząc z poziomu abstrakcji do poziomu konkretu – w teorii wszyscy są równi, w praktyce to koncern Volkswagena dostaje specjalne ulgi od polskiego rządu; w teorii wszyscy mają te same prawa, w praktyce osoby LGBT (ideał społecznej atomizacji) są świętymi krowami, podczas gdy prawa rodziców są coraz wyraźniej ograniczane. Promowane jest to, co jednostkowe, oderwane od wspólnoty. Kościół, rodzina czy naród potrafią organizować się i działać nie tylko na zasadzie zysku i strat, ale również podług zasady poświęcenia i obowiązku, która to może ograniczać konsumpcję, spowalniać przepływ towarów oraz pętać jednostkę w lokalnych zażyłościach i więzach.

> Tak naprawdę współczesna zachodnia demokracja staje się postpoplityczną liberalną wariacją na temat ludowładztwa, z której najchętniej wyrugowano by jej najbardziej nieprzewidywalny, nieracjonalny pierwiastek – samą wolę ludu.

Lud nie jest racjonalny, lud ulega emocjom i może działać wbrew logice opłacalności. Dla kapitalizmu w jego neoliberlanej odsłonie wszelka wspólnota jest zatem naznaczona populistycznym odium, a zatem stanowi element podejrzany, o ile nie wrogi.

Unijczycy, czyli neoarystokracja

Sam system demokracji liberalnej jest rozciągnięty między dwoma sprzecznymi pierwiastkami – elitarnym i egalitarnym, między prawami człowieka a wolą narodu, między liberalizmem a demokracją. To nieustające napięcie, które nadaje rytm współczesnym państwom Zachodu. Łatwo dostrzec jednak, że w tych społeczeństwach ta krucha równowaga została zburzona, a demoliberalizm zaczął odchodzić od swych demokratycznych korzeni, grawitując coraz wyraźniej w kierunku libertynizmu oraz anarchizującego rozumienia wolności – wolności OD państwa, OD społeczeństwa, OD kultury, ale także OD demokracji.

Przykład pierwszy z brzegu: kilka dni przed wyborami parlamentarnymi we Włoszech przewodnicząca Komisji Europejskiej zapowiedziała, że jeśli zwycięzą siły „unijnosceptyczne", to KE może zdecydować się na blokowanie środków dla Rzymu. I czyż my nie znamy tej retoryki? Czyż Bruksela nie stosuje tej taktyki od lat wobec Warszawy? Sama von der Leyen zdawała się to potwierdzać. – Jeśli sprawy pójdą w trudnym kierunku, mamy narzędzia, tak jak w przypadku Węgier i Polski – ostrzegała.

Mimo że nikt tego nie powie wprost, to oczywiste jest, że demokracja zaczęła być postrzegana przez unijne elity jako coś niebezpiecznego – nad wolą ludu nie sposób panować. Lud troszczy się o swoje przyziemne, zaściankowe interesy, porzucając abstrakcyjne prawoczłowiecze wartości. Coraz więcej decyzji w Unii Europejskiej zapada zatem z pominięciem tego niebezpiecznego czynnika, ponad głowami społeczeństw czy wręcz z pominięciem traktatów. Na naszych oczach wykrystalizował się podział na europejskie narody oraz unijną elitę (unijczyków, jak ich swego czasu ochrzciłem na łamach „Do Rzeczy") – na patriotów i unijnych kosmopolitów, na demokratów i neoarystokrację.

Dlatego też unijne elity coraz głośniej podnoszą hasło zniesienia zasady weta, które to – jak stwierdziła Ursula von der Leyen – spowalnia Unię i czyni ją niesterowną.

Na to należy nałożyć jeszcze wpływ środowisk i organizacji teoretycznie apolitycznych, w praktyce jednak stanowiących nieodłączny filar obecnego systemu, na które obywatele w rzeczywistości nie mają żadnego wpływu – wielka finansjera, koncerny międzynarodowe, ale również sądy czy molochy medialne. *Too big to fail* – to hasło stosuje się do nich wszystkich, nie tylko do sektora bankowego. Zbyt wielcy, by upaść. Zbyt wielcy, by ulegać kaprysom ludu. Wybory się toczą, władza jest wskazywana przez nominalnego suwerena, ale cała oligarchia finansowa pozostaje nietknięta.

> Paradoksem naszych czasów jest zatem, że prawica, która historycznie była zawsze wroga wobec demokracji, współcześnie stała się jej ostatnim obrońcą. To prawica, nie liberałowie, domaga się demokracji prawdziwej, czyli demokracji spontanicznej – niesterowanej.

Dlatego też, gdy w Europie dochodzi do władzy jakiekolwiek ugrupowanie prawicowe, nieuznające demoliberalnego status quo i odmawiające podążenia ścieżką Davida Camerona, to niemal natychmiast zostaje ochrzczone jako populistyczne. Trump, Le Pen, Meloni, Orbán, Kaczyński – przy wszystkich różnicach łączy ich fakt, że podobnie odczytują dychotomię lud vs elity.

Co więcej, prawicy zwyczajnie nie stać na porzucanie populistycznego pierwiastka i powrót do przeszłości w postaci polityki hierarchicznej, przesiąkniętej duchem elitaryzmu. Prawica, która rezygnuje ze swego narodowego, populistycznego oblicza, tak naprawdę skazuje się na polityczny niebyt. Konserwatyzm elitarny stracił swą dziejową rolę na przełomie XIX i XX w. Obecnie elitaryzm przenika nie prawicową, ale stricte liberalną, progresywną refleksję, w której lud jest co najmniej podejrzany. W XXI w. elitą nie są potomkowie szlacheckich rodów, tylko unijczycy, współczesna neoarystokracja. To elita oderwana od życia przeciętnego człowieka, żyjąca takimi problemami jak troska o planetę czy prawa mniejszości seksualnych.

Na poziomie publicystyczno-partyjnym hasło populizmu ma oczywiście pejoratywny wydźwięk i sam nie wiem, czy w obecnych warunkach jest możliwe odczarowanie tego terminu. W swoim głębszym rozumieniu populizm nie jest jednak obelgą, a jedynie próbą opisu pewnego fenomenu politycznego.

Oczywiście, jak pisałem, należy mieć świadomość, że populizm jakkolwiek jest dla prawicy najlepszym, to nadal bardzo ryzykownym sprzymierzeńcem – należy z niego korzystać, ale nie można dać się mu owładnąć. W ostatecznym rozrachunku populistyczna emocja jest tylko narzędziem do osiągnięcia celów – obrony rodziny, państwa, wspólnoty i samej polityczności, a także budowy sprawiedliwego, dobrego

ustroju. Oto cele, do których należy dążyć bez względu na to, jakim poparciem by się cieszyły w społeczeństwie.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/sila-populizmu-o-cenie-jaka-placi-prawica-w-xxi-w/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć